

Ingrid Rosenfeld (fragment powieści)

przełożyła Marta Cmiel

1.

Pierwszy krzyk Ingrid Rosenfeld wybrzmiał w gorącym blasku sierpniowego popołudnia roku 1947 w Skaručnej; była ósmym dzieckiem żydowskiego handlarza Amona Rosenfelda i Tinkary Vipotnik, córki tutejszych wielkich posiadaczy ziemskich; gdyby chcieć przyłożyć miarkę, szlibyśmy ich lasem od Šmarnej Góry do Škofjej Loki. Amon przybył do Słowenii z Krakowa jako handlarz drewnem, tu poznał Tinkarę i został; wiejskie pleciugi plotły, że je z cudzej miski, przyssał się do cudzej piersi, żyje na rachunek innych, pije piwo z kukułczych jaj.

Pobrali się w 1931 roku. Rodziców Tinkary zaraz po ślubie córki śmierć zatopiła wraz ze statkiem linii Split – Pescara, w 1932 roku majątek spadł na barki jedynaczki Tinkary i jej męża Amona. Nowożeńców ogarnęła panika, jak sobie poradzą; Tinkara była jedynaczką, a do tego, jak to często bywa, rozpieszczoną, w dzieciństwie chuchano na nią, jej życie kręciło się wokół służby i prywatnych nauczycieli; Amon Rosenfeld, po tym, jak w 1928 roku w Krakowie firma ojca handlująca drewnem zbankrutowała, był do ciężkich doświadczeń i ewoluowania bogactwa w biedę przyzwyczajony, dlatego chwycił za wodze i zarządzał włościami dalej. Nie było łatwo, Tinkara do 1936 roku urodziła piątkę dzieci, dwa razy bliźniaki i raz chłopca, Amon od nowa poznawał okolicę Lublany i w większości katolicko okrzesany żywioł ludzki; budowanie nowych relacji i dbanie o zawarte przez starego Vipotnika kontakty gospodarcze nie szło mu jak po maśle, chociaż do języka szybko przywykł. Był zręcznym i dobrym handlarzem, o drewnie wiedział dużo, nauczył się tego przecież w Polsce, od swojej rodziny i zbankrutowanego ojca, nieszczęśnika, którego dwakroć przydybał, gdy ten próbował sobie okręcić sznur wokół szyi. Właśnie z powodu ojcowego bankructwa był w interesach ostrożny, niemalże zbyt zachowawczy. W praktyce pozostał Żydem już tylko z imienia i nazwiska, z czasem zasymilował się zupełnie, żydowskie zwyczaje i obyczaje zostawił za sobą razem z bankructwem ojca, nie był tej maści chłopem, który w nieszczęściu chwyta się wiary, Dybuk mu się w duszy nie osiedlił, w powietrzu też jeszcze wisi pytanie, czy nie wyrzekł się rodu i wiary z powodu szybko zmarniałego żywota ojca, chociaż żydostwo jest z pokolenia na pokolenie sprawą kobiet. Teraz był już katolicko okrzesanym Słoweńcem z Mojżeszowym rodowodem. A Tinkara, dziewczyna ze wsi pod Lublaną, została wychowana światowo, chociaż w katolickim duchu, ale bardziej wierzyła w to, co widzi i może pochwycić, niż w to, czego nie ma i za czym tęsknimy; myślami była tu i teraz,

a nie w przyszłości, i rzadko kiedy zagłębiała się w kontemplacji wczoraj; w tych rzadkich przypadkach myślała o przeszłości jak o rwącej rzece. Praca dawała efekty i robiono postępy, do 1941 roku Tinkara wydała na ten świat jeszcze dwóch synów, ale córki żadnym sposobem nie mogli począć, chociaż sobie tego bardzo życzili, przy czym najbardziej Amon, jakby pchał się w nieszczęście, był uparty i niewzruszony, upierał się jak osioł, domagając się córki, jakby to miało zbawić świat, podobnie jak przyjście mesjasza, tak jak czasem dzieci płożone są po to, żeby zaspokoić próżność, przede wszystkim męską.

Kiedy ogień wojenny rozgorzał na dobre również w Słowenii, Amon przez pewien czas się ukrywał, zanim Niemcy schwytali go na początku 1942 roku w leśnej chacie blisko Škofjej Loki, szczęście w nieszczęściu, że go od razu nie zastrzelili, pomogło mu złoto, dlatego jeszcze nie tracił nadziei, kiedy deportowali go do Dachau, a Tinkara ze wszystkimi dziećmi na karku poddała się zwątpieniu przekonana, że jej mąż żydowskiego rodu jest już zgubiony. Chociaż mocno go kochała, była przygotowana na najgorsze. Kobieta z krwi i kości, miała zręczne ręce; młodzieńcze rozpasanie i przyzwyczajenie do bogactwa poszły w niepamięć tuż po śmierci rodziców i urodzeniu pierwszych bliźniaków, teraz stała się silną, twardą, pracowitą i kochającą matką, tak, była odważna jak sam czart.

Trzy lata nie było o Amonie Rosenfeldzie ani widu, ani słychu. Cóż począć? Do Tinkary docierały sprzeczne okrucieństwa informacji, że jego dusza już w 1942 roku opuściła ciało i ulotniła się w przestworza kosmosu, że jest żywy i zupełnie wyniszczony, że pracuje w fabryce amunicji, że ostrą żyłką rozcina sznurki i splata w grube liny, którymi szwaby przywiązują statki. Drudzy krakali, i zdaje się, że robili to z uciechą i złośliwie, że deportowano go do Auschwitz-Birkenau i wepchnięto w podwoje wielkiego pieca. Jednakowoż nie było w tym ani krzty prawdy. Rosenfeld to jeden z nielicznych ludzi, nie tylko Żydów, którzy z Dachau już w miesiąc po deportacji zbiegli, i zapewne najpierw przez dwa miesiące błąkał się po bawarskich lasach, a do końca wojny skrywał się u nieznanym ludzi we wsi Oberau niedaleko Garmisch-Partenkirchen. Nigdy się już nie dowiemy, co się z nim działo, gdzie spędził te trzy lata i czym się zajmował, na pewno nie był obozowym kapo ani jakimś innym kolaborującym ogniwem obozowego systemu. Albo i był. Amon Rosenfeld nigdy o tym nie mówił, ani Tinkarze, ani dzieciom, z nikim nie rozprawał o wojnie i obozie, i kiedy pod koniec 1945 roku wrócił do Skaručnej, był bardzo odmieniony, rzeczywistość, przynajmniej częściowo zgadzało się to, co mówili, był wyniszczony i słowa ciężko przechodziły mu przez usta, czasem nawet lapidarnego dźwięku nie można było z niego wydobyć. Jak przeżył i wrócił, to prawdziwy cud, choć nie było mu łatwo, gdziekolwiek się tułał, człowiek, który przyszedł, tylko dobry Bóg wie skąd, nie był już tym samym, którego w 1942 roku deportowano do Dachau. Tinkara z dziećmi na głowie w okupowanym i otumanionym kraju ciężko przeżyła wojnę; do jej drzwi pukali Włosi, Niemcy, partyzanci, białogwardziści, wszyscy czegoś chcieli i nikt nic nie wiedział, dwukrotnie ledwie uprosiła, żeby jej nie zgwałcili i nie zabrali jej resztki warzyw, które wyhodowała własnymi pracowitymi rękami. Także jej wojna

przyprószyła włosy siwizną i przysporzyła trosk, czego nie okazywała na zewnątrz i była zawsze w dobrym humorze, gotowa pomagać wszystkim i każdemu z osobna, troskliwa matka, dobra kobieta, wszyscy wiedzieli, że Vipotnikowa podzieli się w potrzebie kromką chleba i że nie będzie musiała jej odjąć od ust któremuś z siedmiu synów, że ma dla nich zawsze w spiżarni kawałek chleba i domową marmoladę. Jednak w 1946 roku jej ojcowizna stała się własnością państwową i Tinkara z Amonem oraz synami musieli przenieść się do małej chaty jej zmarłej matki, kilka kilometrów stąd, do Šmartna pod Šmarń Górną. Tinkara Vipotnik była bohaterką swoich czasów, to wam powie każdy z miejscowych od Tacna po Skarucń i Pirnič aż do niemalże Škofjej Loki, chociaż wielu z nich już odeszło w zapomnienie – czas pokona każdego z nas. I taka została też po wojnie, nie zламala jej ani konfiskata majątku, ani zmierzniaty Amon, ani niesforni synowie, nic, roztaczała wokół siebie pogodę ducha, śmiech, humor i dzieliła się chlebem. Jak go wyczarowywała, wie tylko ona, tak jak tylko Amon wie to, co w 1947 roku zabrał ze sobą do grobu – dokąd cudem wyrwał się z Dachau i kto go przez lata, kiedy nikt nie wiedział, gdzie jest, i wszyscy myśleli, że umarł, karmił, i czym się zajmował, chociaż nic dobrego mu się nie mogło przytrafić, wystarczyło na niego spojrzeć, na moralne i fizyczne wycieńczenie, i to wystarczyło, żeby człowiek ulegał anamnezie z powodu urodzonego w 1911 roku mężczyzny, który za młodu stał się żywym trupem. Kiedy Amon umarł, ostatnie sześć miesięcy przed śmiercią już tylko rękami mieszał powietrze, z jego ust wydobywały się tylko nocne krzyki i jakieś rzężenie *raus, raus, raus*, Tinkara była w ósmym miesiącu ciąży, co nie szło razem w parze, można zadać sobie pytanie, ile naprawdę było jeszcze siły vitalnej w Rosenfeldzie i jaki był jego emocjonalny gobelin. Czternaście dni po śmierci Amona Rosenfelda urodziła się jego jedyna córka, córka jedynaczka Tinkary Vipotnik, Ingrid Rosenfeld.

2.

Tinkara Vipotnik została sama z siedmioma synami i z Ingrid Rosenfeld. Synowie nosili bowiem nazwisko Vipotnik, a Ingrid pozostała Rosenfeld, zapewne na cześć zmarłego Amona, cudownego człowieka i cudaka, który skończył tragicznie jak jego ojciec, w cierpieniu i ukryciu, pełnym dramatyzmu zapętleniu się w swoim świecie, jakby żarna czasu z pokolenia na pokolenie młóciły potomków równie niestrudzenie. Jak Tinkara przeżyła wojnę z żydowskimi potomkami, swoimi synami? Nie ma w tym nic mistycznego, podobnie jak w przejściach Amona i jego wniebowzięciu; kobieta nie była stworzona tylko do życzliwości i cnotliwości, potrafiła się też targować i zatroszczyć, żeby nic złego nie stało się jej, a przede wszystkim dzieciom. Wiele lat później Tinkara opowiadała, jak zręcznie szachrowała porucznika białogwardzistów i komendanta partyzantów, jak potrafiła obchodzić się z Niemcami, którym nieraz przyszła z pomocą jako tłumaczka, podobnie jak Włochom; wykształcenie, które dali jej w dzieciństwie nauczyciele języków, prawdopodobnie uratowało życie jej i synów, a chleb w mleku przy piecu chlebowym maczali zarówno biali, jak i czerwoni; do tego czerwoni po wojnie zabrali prawie wszystko, co do ostatniego grosza i chcieli więcej, chcieli zupełnie zniszczyć jej życie, byli znani

z nienasyconego egoizmu i rzucali jej w zarumienioną twarz pogardliwe, nieprzyzwoite słowa; w 1948 roku od zesłania i całkowitego załamania uratował ją i jej synów znany słoweński partyzant i późniejszy legendarny profesor Wydziału Filozoficznego w Lublanie pochodzący z Tacenu, nie trzeba go było prosić, załatwił sprawę z czerwoną władzą, żeby zostawili ją w spokoju. Ten profesor mógł sobie nawet pozwolić na to, żeby zadzwonić po pijaku do rządu z wiadomością, że umarł Tito, i podczas gdy niektórzy już pakowali walizki, wydało się, że to siarczysta pochwała kłamstwa, a jemu nic się nie stało, żył sobie dalej i był przezorny jak sam czort, za to jego kompana od piwa wsadzili i przymknęli, ale to już inna historia.

I zostawili ją, zostawili, żeby harowała od rana do wieczora, od świtu, do wiecznie przedwczesnego zmroku, miała się najprymitywniejszych i niemal poniżających zajęć, pracowała jako sprzątaczką w szkole, szwaczka, w międzyczasie gotowała dzieciom i borykała się z nimi, a właściwie nawet walczyła; synów miała mało pomocnych, nie mówię, że nie byli dobrymi ludźmi, o tym później, ale byli zagubieni w świecie, jednemu po drugim kiepsko szło w szkole, bliźniaki były podobne jak dwie krople wody i przez to też ludzie mieli problemy, wiemy przecież, jak dzieci to wykorzystują, robiąc dowcipy, w których nie ma tyle złośliwej manipulacji, ile jest brudu u świętoszka za paznokciami; nie mieli w genach ani trochę matczynego pragmatyzmu, byli bezwolni i dziwnie pogrążeni w swoim świecie. Zatem rośli, ale że im szkoła nie pachniała, do 1952 roku rozproszyli się po różnych robotach. Pierworodni bliźniacy byli murarzami, drudzy dwaj pracownikami magazynów, jeden syn pracował jako archiwista, szósty został malarzem, a siódmy sprzedawcą w sklepie wielobranżowym.

Tinkara czasem źle się z tym czuła, że jej dzieci były prostymi pracownikami i nigdy nie ciągnęło ich do szkoły i książek, ale przy swojej specyficznie ukształtowanej i pragmatycznej woli życia cieszyła się, że każdy miał na chleb i że wszyscy po kolei wyprowadzili się z domu, poza siódmym, sprzedawcą w sklepie wielobranżowym w Šmartnie pod Šmarną Górami, ten z nią i Ingrid Rosenfeld został w domu. Żonę sobie też znalazł i przywiódł ją do chatki przylepionej do wzgórza przy drodze nad kościołem.

W 1955 roku na twarzy Tinkary było widać ślady harówki, w końcu miała już wtedy czterdzieści cztery lata szczipione w korale ciężkiego życia, rzeczywiście wyglądała na wysuszoną i miała ciemne worki pod oczami, ale była wciąż pogodna i uśmiechnięta, i w tej chatce, i na ulicy, i przy klientkach, którym szyła, ta kobieta miała niezłomną chęć życia, zapewne lubiła je, chociaż jej nie rozpieszczało, tak jak służący w dzieciństwie. Na pierwszy rzut oka dawało się dostrzec, że jest sterana i spracowana, ale była zdrowa i w oczach płonęły jej siła i witalizm, wiedziała bowiem, że zwątpienie i nienawiść ogłupiają. O Amonie nigdy nie opowiadała, podobnie jak o swoich rodzicach, chociaż dbała o groby i przynajmniej dwa razy na tydzień pojawiała się w miejscu spoczynku bliskich, zawsze chodziła tam sama, rzadko kiedy podskakiwała wokół niej córka Ingrid.

Ingrid Rosenfeld była żywiołową i inteligentną dziewczyną. W szkole w odróżnieniu od braci wyróżniała się wielką pracowitością i żądzą wiedzy, intrygowały ją właściwie wszystkie przedmioty, a ponieważ cechowała ją mądrość, łatwo przerabiała materiał,

co więcej, nauczyciele stawiali ją za wzór innym dzieciom, które wielokrotnie stroiły sobie żarty z jej niespotykanego nazwiska.

Novak, Klančnik, Brezovar, Dolenc, Frelj, Gorjanc, Hribar, Janežič, Kolar, Kos, Medved, Mevlja, Potokar, Rozman, Šifrer a potem Rosenfeld, jak to Rosenfeld, co to jest, kto to jest, żartowały sobie dzieci z Ingrid, dziecięca bezpośredniość jest bolesna i prawdziwa, lecz Ingrid była śliczną dziewczynką i to ją ratowało, koledzy z klasy zakochiwali się w niej jeden za drugim i natrzęsanie się *Rozika, Rozika, Rozika* szybko się skończyło.

Zaczęło się od fortepianu. Ingrid była bardzo utalentowanym muzycznie dzieckiem i bardzo chciała mieć fortepian, który Tinkara kupiła jej przy pomocy proboszcza ze Šmartna, chociaż nie chwaliła się tym naokoło, w końcu nie chciała nabawić się nowych kłopotów i głądzenia sąsiadów, że idzie przez życie, układając się ze wszystkimi, nawet z kościelnymi obłudnikami, a każda władza jest na swój sposób faszyzmem i gładkie słowa szybko zmieniają się w baty. O tym dobrze wiedziała i paranoja nie schwytała jej w swoje szpony, nawet jeśli przez kilka kolejnych dni pod oknem czał się szary świt. Nie bała się. Może też dlatego, że chciała być tylko dobrą matką i żyć życiem, które mało znaczyło dla innych ludzi, przepychających się i rozpychających łokciami. Ingrid otrzymała fortepian i klawisze co dzień stękały pod jej palcami, później zaczęły się z nich wydobywać fantastyczne dźwięki, piękno, piękne dziewczę z wielkiego drewnianego pudła wywabiało miłe dla ucha melodie. Tinkarze ucho się radowało, kiedy wieczorami strudzona słuchała córki, jak z zapałem i radością gra, wiele to dla niej znaczyło. Ale nie dla Tinego Vipotnika, jej najmłodszego syna, w którym nieraz złość wykipiiała i wtedy nie szczędził przekleństw. Często się przekomarzali, ciągle skarżył się na konto fortepianu, że jest zmęczony i chciałby odpocząć, że on też coś robi, nie obchodzi ich, że haruje, że to przeszkadza jego żonie, dlaczego do czorta to diabelskie urządzenie przywlekli do domu, koniec końców nie mają pieniędzy, żeby bawić się w szlacheckie szczebiotanie – przy czym zapominał, że prawie wcale nie dokłada się do domowego budżetu, że Tinkara troszczy się też o jego bezrobotną żonę, że ich karmi i trzyma pod strzechą.

Codziennie, kiedy mała siadała do fortepianu, przychodził ze swojego pokoju i rozżalone i wściekłe krzyki, a do tego gđkanie jego żony, zaczynały ogarniać chatkę przylepioną do wzgórza nad kościołem. Tine wciąż nie mógł się pogodzić z tym, że nie żyje w domu według swojego upodobania i miary, matce nie okazywał żadnego szacunku, interesowało go tylko, ile drobnych i mało ważnych rzeczy ukradnie w sklepie wielobranżowym, jak mógłby najbardziej dokuczyć młodszej siostrzyczce, dziwnej dziewczynce z fortepianu, i matce, na matce wyżywał się, jak tylko mógł, przede wszystkim psychicznie, jakby mama była winna, że jest zły na cały świat, mama, która troszczyła się, żeby przeżył i która załatwiła mu pracę w sklepie wielobranżowym. Ale Tinkara nigdy nie prosiła o wdzięczność i nie wymagała jej, dzieci przecież nie ma się po to, żeby okazywały jej wdzięczność za to, że je wychowała, dzieci mamy po to, żeby je kochać, a nie po to, żeby zakładać nowe i nowe kuźnie kompleksów i konfliktów, myślała, milcząc, patrzyła na dziwne wybryki swojego najmłodszego syna. Nie była jednym

z tych rodziców, którzy na starość domagają się pieniędzy i opieki od swoich dzieci, nie podzielała tej wizji świata, według której dzieci rodzi się po to, żeby na starość zmieniali jej pieluchy, tak jak ona im je zmieniała, kiedy zaczynały przyglądać się światu. Tine jednak nigdy nie zdawał sobie sprawy, że miłość jego matki jest czysta, głęboka i jasna, że intrygując i urągając, poza matką bliźną w jej duszy niczego nie zwojuje, a tym bardziej nie zmienia, jego małostkowe politykowanie, chciwość, wzgarda i złość nie mogą złamać jej serca ani zniszczyć wizji świata, rozwijanej od świtu do mroku, od urodzin do śmierci. Chłopak, no, facet o wybuchowym charakterze, nie tylko cierpiął na krótką pamięć, ale był też złośliwy, mały intrygant i zgorzkniały umysłowy kaleka w domu swojej matki, w którym chciał mieć spokój, lecz żeby go osiągnąć, musiałby zająć cały metraż chatki przylepionej do wzgórza nad kościołem i pozbyć się matki i siostry. Czas wypełniało mu snucie wizji i rozważanie opcji, jakby się tu uwolnić od matki i siostry, jakby tu pozbyć się zawadzących zakat, które żyją zupełnie nie po jego myśli, co mu nie na rękę, cały czas kontemplował, jakiej broni powinien użyć w walce z kobietami, żeby dały mu błogostawiony pokój, który tani nie jest, był skazany na burzenie i przez niego wszystko stawało się problemem, a tacy ludzie nigdy nie osiągną spokoju, burzą przeszkodę za przeszkodą i wojna coraz bardziej rozgorzewa, i kiedy nareszcie myślą, że będzie spokój, giną. Kiedy spostrzegł, że poprzez złośliwość i intrygowanie, obelżywość i ponizanie, drwienie i naśmiewanie się niczego nie osiągnie, a bynajmniej nie odpędzi siostry od fortepianu, zmienił taktykę. Pewnej letniej nocy, kiedy wszyscy spali, a Ingrid miała wakacje i faktycznie więcej popołudniowych godzin spędzała przed fortepianem, odkrył kłapę fortepianu i na zęby klawiszy wylał sporo butelek kwasu solnego, skradzionego właśnie na tę okazję z magazynu sklepu wielobranżowego w Šmartnie pod Šmarną Górną. I fortepian obrócił się w ruinę, i już nigdy nie było instrumentu, ani nawet piszczałek w chatce, przylepionej do wzgórza nad kościołem. Ingrid płakała i Tinkara ją pocieszała, wtedy w głowie dwunastoletniej dziewczynki po raz pierwszy zadudniło i zawrzało uczucie nienawiści i pogardy, z nienawiści do brata i jego żony od owego czasu się nie otrząsnęła, w okrutny sposób zadali jej ból, taki ból, który ma najbardziej zawikłaną i odciskającą piętno na psychice proveniencję i który atakuje z podświadomości, kiedy jesteśmy już dorośli, wtedy na pierwszy rzut oka bez troskie dzieciństwa wybuchają i naraz wszystkie groteskowe utrapienia i metody wychowania, i przeżycia uderzają jak podstępne siekacze w lubieżnych gębach, które gryzą tylko mentalną strukturę człowieka. Tego Ingrid Tinemu jeszcze do dziś nie wybaczyła, chociaż jej brat jest już martwy, wtedy tącząca ich nić czułości porozumienia zupełnie się rozewała, a Tinkara, myśląc, mnie nic nie jest, tobie nic, ugłaskiwała córkę, a jednocześnie kroczyła po koleinach życia dalej, jakby nic ważnego się nie stało, jakby zdarzenia trywialnego życia były z góry przetrawione, przeczuwane i jakby miały z góry zakreślone granice.

Tine Vipotnik urodził się w 1941 roku, jako siódmy syn Amona Rosenfelda i Tinkary Vipotnik, ale ani do jednego, ani do drugiego rodzica nie był nawet odrobinę podobny, chociaż chętnie mówimy o ludziach, że płynnie w nich ta sama krew, co w rodzicach, że są mieszańką genów przeszłości, i nawet Pan nam nie chce powierzyć tajemnicy

mieszania się genitaliów, delikatnych, gruboskórnych, spowolnionych, narwanych, stojących, misjonarskich, psich, namiętnych albo letargicznych, częstego lub rzadkiego, czy też może jednej i przypadkowej namiętnej schadzki dwóch nieznanymi osobom kilka pokoleń wcześniej. Tine, którego wołali Tinček, był niezbyt mądrym, złośliwym małym męciwodem, pracował tylko, gdy mu nakazano, sam do niczego się nie rwał, w wolnym czasie gdzieś się gapił, wybierał sobie punkt, na którym pewnie dokładnie się nie skupiał, w domu, w chatce, przylepionej do wzgórza nad kościołem w Šmartnie pod Šmarną Górą, a najchętniej siedział na rozwalającej się werandzie i plastikową łopatką zabijał muchy i inne robactwo, cieszył się, jeśli mógł zdeptać jakiegoś chrząszcza, tak, żeby jego wnętrzności rozmiędzły się na drobnym piasku przed chatką, wtedy uśmiechał się nawet, tak jakby poznał genezę kosmicznego bytu, kiedy spozierał na sprasowaną zawartość zwierzęcia. Małostkowe radości i małe złośliwości go uszczęśliwiały, podobnie jak gorliwe skąpstwo i małe kradzieże w sklepie wielobranżowym. Jego żona Helena uczęszczała do szkoły specjalnej, chociaż na pierwszy rzut oka nie wyglądała, jakby miała problemy z rozwojem umysłowym albo jakby była odmieniec, ale robiła i wykonywała wszystko, co nakazał jej i tak niezbyt bystry Tinček, jej słowa były jego słowami, z biegiem czasu zaczęła zachowywać się tak jak on, nawet ruchy i mimikę przejęła od męża, który prawdopodobnie żył po to, żeby ogarniało go zmartwienie. Praktycznie nie istniała, była cieniem i zawsze wiadomo było, co zrobi, przecież to już nakazał albo zapowiedział Tinček. Co miała swojego, tylko tyle, że jeśli Tinček się wściekał albo był w złym humorze, płakała, czasami szlochała i szlochała, cały dzień i całą noc i łzy jak pot ciekły po twarzy i zlewały się w małżowinę uszną. I to w sumie wszystko, nawet nie była ładna. Powiła dwie córki, które rosły podobne do swoich rodziców, w odróżnieniu od ojca, który po żadnym z rodziców nie odziedziczył niczego dobrego, nawet z cech fizycznych, rodzice byli ciemnowłosi, on blondynem, białolicym, jego skórę rzadko liźnął promień słoneczny. Żyli więc dalej razem w chatce, przylepionej do wzgórza w Šmartnie pod Šmarną Górą, Tinček, jego żona Helena i ich córki sobie, Ingrid i Tinkara sobie, na ile się dało; Tinkara wciąż gotowała dla wszystkich, sama kupowała żywność i płaciła rachunki, harowała nadal i w swoim *modus operandi* trwała uparcie, była niewzruszona, kochająca i łagodna i znosiła również wszystkie tortury Tinčka, Heleny i wnuczek, także to, że zabierali jej przynajmniej połowę miesięcznych dochodów, które faktycznie nie były marne jak na te czasy, ale godziwe też nie.

Ingrid skończyła szkołę podstawową jako najlepsza uczennica w klasie i zapisała się do V Gimnazjum Ljubljana-Šentvid, do muzyki od owego czasu, kiedy Tinček zalał fortepian, czuła odrazę, lecz nawet ona sama nie wiedziała dlaczego, nie znosiła już magicznych dźwięków instrumentów, chociaż nie pytała się już często i gęsto, co mogłoby być przyczyną nagłej ochłody, czy bodźcem był naprawdę tylko kwas solny?

Szkołę średnią Ingrid przechodziła z łatwością i zadowoleniem. Wyrosta na wysoką, smukłą i piękną młodą, brunetkę z wielkimi niebieskimi oczami, moglibyśmy powiedzieć, że była prawdziwą pięknoscią. Chociaż jej koleżanki ze szkoły nosiło i cały czas rozmawiały o mężczyznach, jej chłopcy nie obchodzili za bardzo, o puszczaniu się

dla sportu z facetami, którzy już byli po służbie, nie było mowy, z gołowąsami i przyszłymi kolegami ze szkoły obcować, jakby wszyscy byli tej samej płci, pożądanie nią nie miało. Zarysy jej późniejszej mentalności zaczęły się wyraźniej ujawniać w drugiej klasie liceum w Šentvidzie; Ingrid Rosenfeld była emocjonalną, subtelną, nieco upartą panną, kobietą, czyli indywidualistką nie w sensie stawiania czoła światu i ustalonym normom systemu czy nawet w tych czasach bardzo słamszonej katolickiej obłudzie, była wrażliwsza od innych, i śmiem twierdzić, że także bardziej postępową, mądra i żądna wiedzy pochodzącej z książek, już wówczas zdawała sobie sprawę, że powszechnie opiewane słowo wolność jest tylko orężem jednostek żądných władzy. Obowiązki szkolne traktowała nader poważnie, przy tym miała towarzyską i swobodną naturę i dlatego koledzy nie uważali jej za kujonkę. Niecierpliwi chłopcy, którzy w większości kombinowali, jakby tu dotknąć kobiecych narządów płciowych, a może nawet pozbawić cnoty, zwłaszcza tacy, którzy gawędzili z nią po raz pierwszy, myśleli, że jako towarzyska i chętna do rozmowy, a nawet żartów na temat seksu, Ingrid Rosenfeld będzie łatwym łupem, ale mylili się; była niezwykle niezłomna, wówczas w zasadzie w ogóle nie myślała o chłopakach, chociaż jej koleżanki w drugiej klasie już lały z mężczyznami do łózka pod pierzynę i dwóm nawet przytrafiło się nieszczęście, bo smarkacze je zapłodniły i na świat przyszły bękarty, co mówiliby w Šmartnie pod Šmarną Górą, gdyby urość jej brzuch, torturowaliby ją, wyobcowali i pluliby, tak ja myślę, ona na pewno się nad tym nie zastanawiała, w końcu nawet się jeszcze nie całowała. Nieco później wyobrażenie o miłości i stosunek do płci przeciwnej nabrały rumieńców, w czwartej klasie całowała się już z kolegą z równoległej klasy, koszykarzem młodzieżowej drużyny Słowianin, wtedy już całowała się z języczkiem i kiedy myślała, że po raz pierwszy się zakochała, koszykarz ją zostawił, bo nie pozwoliła mu, żeby wsunął palce za jej majtki, chociaż aż drżał i spocił się i krople cielesnych wydzielin zmarszczyły mu się nad górną wargą, kiedy wypychał rękę tam, gdzie nie pozwalała. I odszedł od niej, i lekko ją zabolalo, choć też coś nieokreślonego zawrzało pod powłoką skóry i motyle zamigotały od wewnętrznej strony jamy brzusznej.

Zdała maturę z wyróżnieniem, jako najlepsza uczennica w klasie, i w 1965 roku zapisała się na studia na Wydziale Filozoficznym w Lublanie, gdzie w 1970 roku uzyskała tytuł magistra słowenistyki i literatury porównawczej. W domu wszystko było po staremu, życie kołatało się po już dawno ułożonych torach: Tinkara harowała od rana do wieczora, Tinček i Helena dolewali oliwy do ognia i wyostrozali smak czarnej polewki, serwowanej przez życie, małymi bezwstydnosciami i kradzieżami banknotów z portfela, który nigdy nie był dość dobrze ukryty, żeby go nie wywęszyli, niczego Tinček nie potrafił tak doskonale zwęszyć jak aktualnego miejsca ukrycia portfela, i chociaż zawsze ukryty był gdzie indziej, zawsze go wygrzebał, a jeśli nie on to dobrze wytresowana Helena, której choroba umysłowa coraz bardziej postępowwała i teraz już każdy mógł zaobserwować, że brakuje jej klepki, czasem chodziła ulicą i miauczała *miau, miauu, miauu* albo całe godziny jak wierny pies stała przed sklepem wielobranżowym w Šmartnie pod Šmarną Górą i czekała na Tinčka, całe godziny przesiadywała na skrzynce przed sklepem i czasem siedząc,

przycięta komara i drobna strużka śliny ciekła jej z ust, czasem gapiała się na kościół i kiedy uderzyło serce dzwonu, zaczynała wyć jak wilk, ujadąca, jakby zamieszkała w niej udręczone zwierzę. Było z nią kiepsko i za każdym razem, kiedy zaświtało, wydawało się, że jest bardziej szalona.

Ingrid Rosenfeld udawało się żyć jakoś mimo tego zwaśnionego, nikczemnego i tępego postrzegania świata, małostkowej chciwości i żarliwego skąpstwa Tinčka, praktycznie ich nie widywała, już w szkole średniej nie, a teraz już w ogóle, odkąd zaczęła studia, na drugim roku wynajęła sobie kawalerkę przy ulicy Kristanovej 8 w Lublanie. Swoją mamę bardzo lubiła, podobnie jak mama ją, jeśli o kogoś się na tym świecie bała, to o nią; zastanawiała się od czasu do czasu, czy jej córka będzie szczęśliwa, co do reszty nie miała wątpliwości: jej najmłodsze dziecko, teraz już kobieta, była dobrą uczennicą i dobrą studentką, była pracowita i uczciwa, szczerą i wesołą, Ingrid była z tej gliny, w której znajdziemy w większości tylko jasne i pozytywne cechy charakterystyczne dla struktury mentalnej, i to prawda, młoda dama nie życzyła nikomu nic złego, wręcz przeciwnie, wykazywała chęć do pomocy i nawet wędrownym sprzedawcom z ogromną radością wetknęła grosz w wystawiony kapelusz nie po to, żeby namaścić własne ego, ale od serca; dawała innym szczęście i pokój, czasem jeszcze więcej niż sobie, geny odziedziczyła po matce, w tym przypadku nie można mieć wątpliwości.

Kiedy mieszkała przy ulicy Kristanovej 8 w Lublanie, Tinkara co niedzielę, gdy przyszła do domu na obiad, przygotowywała jej wikt, szereg już ugotowanych potraw, kapustę z grochem, gulasz, rosół, i oprócz pieniędzy dawała jej też owoce, warzywa i inne rzeczy, które sprzedawał jej osobiście Tinček, jako że przynosił żywność ze sklepu wielobranżowego, zawsze liczył sobie podwójnie, wiedział przecież, że Tinkara zapłaci, sądził, że ją kantuje i był szczęśliwy, stara krowo, myślał sobie, chociaż Tinkara aż nazbyt dobrze wiedziała, że syn ją oszukuje i kradnie jej drobne z portfela, a ona chętnie dałaby mu pieniądze, gdyby ją zapytał, nie musiałby się prosić, wystarczyło zapytać. Z mamą były też przyjaciółkami i Ingrid w zaufaniu mówiła jej wszystko, także to, że jeszcze z nikim nie spała, że nie ma chłopca na poważnie i nie boli ją to ani przesadnie za tym nie tęskni, a mama nie miała nic przeciwko, dała córce swobodę i nigdy nie prawila jej kazań, sama niech zdecyduje, co i jak, będzie się cieszyć, jeśli znajdzie mężczyznę, który będzie ją kochał, jeśli nie, też dobrze, cieszy ją już wystarczająco to, że Ingrid dobrze się czuje w swojej skórze.

Relacje między matką i córką były wzorowe, proste i przepełnione miłością, tu nie było kuźni konfliktów i chęci nadzorowania czy uczenia rozumu, ale piękno w praktyce, czysta, głęboka i pogodna miłość. I też obie kobiety takie były, piękne i subtelne, z tą różnicą, że Tinkarę życie nauczyło wytrwałości i niezłomności, a Ingrid nie, ona była tylko niedająca się ogarnąć i rozumiejącą emocją, kobietą ze światła, jak chętnie mówimy, kiedy ćwiczymy się w metaforach, aczkolwiek szablonowych, najlepsze rzeczy to zapewne te wypróbowane i czasem nagi księżyc za oknem naprawdę świeci przez obłoki, powiedziałaby jakiś stary bajarz, poetycka dusza.

4.

Ingrid uwielbiała swoje studia, przede wszystkim komparatystykę literacką, słownictwologię nieco mniej, co, biorąc pod uwagę jej marzycielską naturę, było zupełnie zrozumiałe. Tinkara nauczyła ją też podstaw języka niemieckiego, angielskiego i włoskiego, które dali jej prywatni nauczyciele jeszcze przed drugą wojną światową, dobrze zresztą wiedziała, że znajomość języków wielkich narodów niezawodnie ratuje życie, załączki wiedzy, przejęte od matki, Ingrid samodzielnie i w ramach szkolnej edukacji pracownice dopełniała i w ten sposób szlifowała swój wrodzony talent do języków, książki z łatwością czytała w oryginale, uwielbiała Williama Faulknera *Światłość w sierpniu*, mniej jego *Wściekłość i wrzask*, opowiadania Edgara Allana Poe'go, lubiła Ernesta Hemingwaya, Jamesa Joyce'a, Scotta F. Fitzgeralda, Johna dos Passosa, Williama Goldinga, poezję Walta Whitmana, chętnie czytała Thomasa i także Heinricha Manna, Heinricha Bölla, Alfreda Döblina, Ericha Marię Remarque'a, czytywała również Brechta i Rilkego, i Trakla. Ingrid Rosenfeld była naprawdę rozkochana w literaturze, to był jej świat, czasem opuszczała wykłady i nawet całymi tygodniami zostawała sama w mieszkaniu i czytała, czytała wszystko po kolei, jeśli nie udawało jej się zdobyć oryginałów i słoweńskich przekładów, czytała również serbsko-chorwackie przekłady znanych na świecie pisarzy, czytała w oryginale Cesarego Pavese'a i Alberta Moravie, także Etora Shmitza, jednego z lepiej znanych pisarzy z Triestu znanego jako Italo Sveva, lubiła jego książki *Starość* i *Zeno Cosini*, posiadała nawet rarytasowe pierwsze wydania, które własnym nakładem opublikował sam pisarz, który wówczas jeszcze nie był sławny, sławy Italo Svevo nie doczekał się za życia. Chętnie czytała też słoweńskich pisarzy, lubiła Prešerna, Cankara, Murna, Kettego, Mirana Jarca, Zofkę Kveder, po niemiecku przeczytała w całości jedną z książek Almy Karlin, już wtedy słusznie zresztą uważała Bartola i Gruma za wielkich twórców, chętnie czytała Kosovela, także współczesnych sobie autorów, których spotykała na ulicach, pędząc na zajęcia albo do biblioteki, Edvarda Kocbeka, Danego Zajca, Gregora Strnišę, Dominika Smolego, lubiła Minattego, także Cirila Zlobca, Tonego Pavčka i Kajetana Koviča, wstrząsnął nią też debiutancki tomik wierszy Tomaža Šalamuna, *Poker* uwielbia do dziś. Obdarzona była intuicją i wrażliwością literacką, książki potrafiły ją zupełnie oczarować, ale nie odrywały od ziemi, racjonalnemu myśleniu nie groziła rozsypka, co najwyżej wieczorami czasem przenikała ją melancholia.

Ingrid nigdy nie pociągało pisanie, oprócz prac semestralnych i innych wymaganych na studiach nigdy nie stworzyła nic swojego, nigdy nie przyjaźniła się z pisarzami, nie chodziła na wieczory literackie, uwielbiała literaturę, ale nie szukała bliskiego towarzystwa pisarzy, właściwie za nikim poważniej nie tęskniła, miała kilka koleżanek ze studiów, i to było w sumie wszystko, życie wydawało jej się piękne i uszczęśliwiał ją już sam fakt jego istnienia, cud życia. Niektóre życiorysy pisarzy wydawały jej się cudowne i cudaczne, ścieżki życia Baudelaire'a, Verlaine'a i Rimbauda, los Lautreamonta, mój Boże, jakie to były czasy i jacy ludzie, mówiła do siebie, bez cienia moralizatorstwa i egotyzmu, nigdy się nie gorszyła ani nie wymrukiwała pod nosem moralistycznych uwag, ale aż przeszedł ją dreszcz, kiedy czytała w biografii Verlaine'a, o tym jak kopat

swoją ciężarną żonę w brzuch i opuścił ją z powodu małego awanturnika Rimbauda. Dziwiły ją koleje losu Tinego Ujevića i uwielbiała jego wiersze, lubiła *Codzienną skargę*, *Nokturn* i *Nostalgję światła*, lubiła też Krležę, Avgusta Cesarca, Antuna Branka Šimića, Dobrišę Cesarića i innych chorwackich poetów, Słowianie dawali jej jakąś szczególną energię i wtedy przenikała ją melancholia, nie ta, która rozstraja, ale ta, która czyni człowieka pięknym, mój Boże, jak skończyli Jesienin i Majakowski, jakie wersety pisze Anna Achmatowa, przed oknem znienacka zaczyna się rozlewać złote światło, kiedy pomyśli o niej. Gdy po kolejnej przeczytanej biografii czy jedynie krótkim życiorysie jakiegoś niezwykłego pisarza kontemplowała jego cudowne i cudaczne życie, zawsze przypominał się jej ojciec, co się z nim stało, gdzie zginął w czasie wojny, czym się zajmował, czasem było jej smutno, że go nie poznała, że nic zupełnie o nim nie wiedziała, poza ogólnikowymi informacjami na temat jego tajemniczych losów w czasie drugiej wojny światowej.

I tak mijały jej studenckie lata, czytanie i studiowanie sprawiało jej o wiele więcej radości niż cokolwiek innego, w zabawach i nocnych włóczęgach po Lublanie nie brała udziału. Nie tęskniła za tym ani nie miała na to ochoty, jej szczęściem były książki, chociaż wielokrotnie opowiadały o smutnych ludzkich losach i przemawiały za pomocą melancholijnych, a być może wręcz nadwrażliwych wersów.

W 1970 roku ukończyła studia i kilka miesięcy po uzyskaniu dyplomu powróciła do V Liceum Ljubljana-Šentvid, tym razem jako pani profesor Ingrid Rosenfeld.

5.

Miloš Trtnik urodził się w 1929 roku w Hasselt, małym górniczym mieście niedaleko Brukseli, jego ojciec był górnikiem, a matka gospodynią. Po śmierci ojca w 1946 roku powrócił z matką do Lublany, gdzie ukończył studium nauczycielskie, a później Akademię Pedagogiczną, kierunek: muzykologia. W szkole muzycznej imienia France Šturma uczył gry na gitarze.

Trtnik uczył gry na gitarze tylko po to, żeby zarobić na chleb, bardziej lubił literaturę, a właściwie ją uwielbiał, po pracy, zwłaszcza teraz, kiedy się rozwiódł, opadał na fotel i czytał, nawet jadał na stojąco, tylko po to, żeby jak najszybciej kontynuować lekturę tam, gdzie skończył ją wczoraj, albo żeby zacząć nową książkę. Rozwiódł się w 1968 roku, żonę opuścił, kiedy poważnie zachorowała, po prostu odszedł, zostawił ją z piętnastoletnim synem i wyprowadził się, wyrzuty sumienia związane z chorobą żony i opuszczonym dzieckiem go nie gryzły, ze spokojnym sumieniem mogę napisać, że gwizdał na oboje, w literaturze szukał brudnych fantazji i tym się rozkoszował.

Był egoistycznym człowiekiem, który uważał, że współczucie jest reliktem przeszłości, przekonany co do swoich racji, dla siebie delikatny, dla innych sukinsyn, chociaż rozmawiając z ludźmi, zwyczajne słowa układał w bajeczne zdania, potrafił manipulować, od razu pozyskiwał sympatię ludzi. Uwielbiał Kafkę i Dostojewskiego, Camusa i Sartre'a – to byli jego ulubieni pisarze. Szczególnie Kafkę lubił, nieraz mu się przytrafiło, że nie wiedział, czy majaczy z powodu Kafki, czy z powodu alkoholu. Od tego drugiego był uzależniony, chociaż nie dawało się tego po nim poznać; miał ładną twarz,

był zadbany i na pierwszy rzut oka pewny siebie, aż za nadto, jeśli choć trochę miałeś z nim do czynienia, dochodziłeś do wniosku, że ten mężczyzna myśli sobie, że ziemia tyka według taktomierza, który on nastawił, tak był przekonany co do swoich racji, lecz jeśli uważnie go obserwowałeś, dało się zauważyć, że jego uśmiech nie wypływa z wnętrza, a tym bardziej nie wprawia go w ruch zębate koło łagodności.

Kiedy nie czytał, pił; właściwie czytał i pił, resztę miał gdzieś, chociaż nie zawałał pracy i nie spóźniał się do niej. Dziwny człowiek, trzeba było go dobrze poznać, żeby oderwać chociaż jedną warstwę jego mentalnej skorupy. Musiał coś zupełnie spartaczyć, żeby wyciągnąć jakiś wniosek, wcześniej zupełnie niczym się nie przejmował, chociaż ludzie z jego otoczenia cierpieli, bo go lubili, tak było z pierwszą żoną, kiedy zachorowała, usunął się, nie no, usunął, porzucił ją i nie chciał więcej o niej słyszeć. Raz na tydzień przyszedł po syna do šentvidzkiego liceum, syn był dość problematycznym uczniem drugiej klasy, często wagarował i do tego wielokrotnie przychodził do szkoły pijany.

Także Ingrid miała z nim problemy, Igor Trtnik przemocowanym do golenia lusterkiem chciał jej zajrzeć pod suknię, za to dużo wiedział o literaturze, raz nawet wiedział coś, czego ona nie wiedziała, i ośmieszył ją przed klasą, przecież Karel Destovnik-Kajuh już w czasie wojennej zawieruchy wydał tomik wierszy, chociaż profesor Rosenfeld twierdziła, że nie. Więc Trtnik poszedł do domu i przyniósł wznowienie wojennego wydania, gdyż jego ojciec pozostawił w mieszkaniu za Beżigradem przy ulicy Vodovodnej, gdzie mieszkał ze śmiertelnie chorym matką, która z biegiem czasu pożegnała się z białaczką, czasem naprawdę cuda przytrafiają się ludziom i ratują im życie, chociaż niektórzy są przekonani, że dorobek nas wszystkich jest na końcu taki sam, zero, zero. Nieco zawstydzona Ingrid nie mściła się na nim z tego powodu, jak rozegraliby to niektórzy profesorowie, co więcej syn Miloša miał u niej zagwarantowaną co najmniej czwórkę, gdyż także o innych pisarzach wiedział dużo, nie tylko drugorzędnych błahostek, wiedział więcej i potrafił to wyartykułować, za co młoda nauczycielka sprawiedliwie go nagrodziła.

Miloš Trtnik i Ingrid Rosenfeld poznali się na korytarzu przed pokojem nauczycielskim w šentvidzkim liceum, przedstawił ich sobie dyrektor, kolega Trtnika z czasów studium nauczycielskiego, kumpel od kieliszka, nie przyjaźnili się, ale byli dobrymi znajomymi, dyrektor gimnazjum Primož Rezman cenił Trtnika już w czasach studium, wydawał mu się postępowy i chętnie słuchał jego filozoficznych rozważań, które kręciły się wokół esencji, ale nie próbował ich rozwijać, co to to nie. Trtnik chętnie patrzył na piękne kobiety i potrafił się z nimi obchodzić; wiedział jak przypodobać się kobieciej duszy, jeśli któraś wpadła mu w oko, zazwyczaj udawało mu się ją zdobyć i na pierwszy rzut oka miał wszystkie cechy, które podobają się kobietom: był zadbany, wykształcony, zabawny i troskliwy jako ojciec, przynajmniej takie sprawiał wrażenie, wyglądał na niezawodnego mężczyznę, co więcej, chętnie mówił, że świat się stacza, ponieważ my, ludzie, myślimy tylko o sobie i nie pomagamy innym, którzy nie potrafią się odnaleźć w egzystencjalnych zawirowaniach i serce im pęka, jakby wydawało im się, że nadzieja na lepsze jutro jest objawem starości. Kiedy dowiedział się, że Ingrid Rosenfeld jest nauczycielką literatury

i języka słoweńskiego, od razu zaczął drążyć temat literatury, szybko przeszli do poważnej rozmowy i Ingrid pochwaliła jego syna, że wiele wie, a teraz ona też wie, skąd u niego tyle barwnej wiedzy o literaturze; Trtnik trochę pożartował i dorzucił coś o Wrońskim i Annie, wprawiając ją w śmiech, oraz zaprosił ją na kawę; Ingrid niezdecydowanie odmówiła, dodając, że będzie jeszcze na to czas, że było jej miło z nim podebatować, ponieważ ludzie często nie traktują literatury poważnie, a skrywa się w niej najwięcej życiowych prawd.

6.

W 1971 roku Tinkara Vipotnik obchodziła sześćdziesiątą rocznicę urodzin. Nie przygotowywała wielkiej uroczystości, ale dzieci ją odwiedziły, każde z osobna albo po dwoje, druga para bliźniaków nie mogła bowiem jeszcze się rozdzielić, Janez i France, podobni jak dwie krople wody, jak chętnie mawiamy, przyszli z wizytą dokładnie w tę samą niedzielę co Ingrid. Tinček i Helena zabarykadowali się w swoim pokoju i bawili się z córkami, a za stołem w kuchni w chatce, przylepionej do wzgórza w Šmartnie pod Šmarną Górami, siedzieli we czwórkę: dwoje czterdziestolatków, jedna sześćdziesięciolatka i jedna dwudziestopięciolatka, wszyscy sami albo samotni w sensie braku towarzysza życia, z którym dzieliliby też małżeńskie.

Janez i France byli dziwakami i ludzie żartowali sobie z nich, mieszkali w Šišce vis-à-vis Lublańskiego Miejskiego Transportu Pasażerskiego, gdzie zostali zatrudnieni jako magazynierzy starych części autobusowych, które nie wysłużyły się jeszcze na tyle, żeby powędrować na śmietnik; tam grzebali się w żelazie i byli cały czas usmarowani, nigdy nie doczyszczali olejem maszynowym umazanych rąk i chadzali dookoła w niebieskich roboczych kombinezonach, nawet w tę niedzielę. Chociaż nie byli pomyleni, jak myśleli sobie ludzie, nie odznaczała się też mądrością i brakowało im intuicji społecznej; oprócz dwóch – trzech wizyt u matki nigdzie nie chodzili, ani do restauracji, ani na miasto, poruszali się tylko na odcinku praca – mieszkanie. W pracy ich ceniono, cechowali się bowiem pracowitością i sumiennością.

France i Janez byli podobni do Amona: ciemnowłosi o gęstych, krzaczastych brwiach i bardzo owłosieni na całym ciele, dlatego ludzie śmiali się, że są małpami, i kiedy widzieli ich gdzieś w Šišce, tręcali się łokciami i szeptali *małpiszony idą*.

Z siostrą nie mieli jakichś bliższych relacji, byli dla siebie obcy, znali się pobieżnie, i do tego nie mieli o czym rozmawiać. Po prostu siedzieli i milczeli, od czasu do czasu powiedzieli coś na temat pogody, z jednej strony piękna, zadbana, wykształcona i uczuciowa panna, z drugiej bliźniacy w roboczych kombinezonach, faktycznie zarośnięci jak dwa małpiszony. Tinkara była jednak zadowolona, zharowana kobieta dobrze się czuła sama ze sobą, a to widać po ludziach także na zewnątrz i w relacjach z innymi. Także do młodszych bliźniaków Tinkara miała zdrowy stosunek, tak jak do wszystkich swoich dzieci; najbardziej martwiła się o to, czy będą potrafili zatroszczyć się o siebie, i to się im udało, wszystkim, także Tinčekowi, chociaż wiemy, jak się z nią obchodził. Jej dzieci były po prostu szarymi pracownikami, co tu dodać,

chłopcy być może w społeczeństwie uchodzili za dziwaków i za takich, co mają nierówno pod sufitem, Ingrid była natomiast wewnątrz społecznego i towarzyskiego gwaru prawdziwą damą, panią, jak chętnie mówimy o eleganckich damach, zupełnym przeciwieństwem swoich braci.

France i Janez spałaszowali swój salceson z cebulą i odrobiną oleju z pestek dyni, prawie nic nie powiedzieli, mlaskali i maczali swój chleb w oleju i zaczęli się żegnać, wkrótce, kiedy przyszła Ingrid, ulotnili się, jakby czuli się nieswojo w jej towarzystwie i właśnie tak było. Tinkara i Ingrid tylko wzruszyły ramionami i nic nie powiedziały, zaśmiały się, wcale nie złośliwie, ale serdecznie, nic złego nie kryło się w tym śmiechu, chociaż nie mogły się powstrzymać, bracia i synowie wydawali im się tak bardzo śmieszni, że serce im szybciej pulsowało i sine żyły na rękach ukazywały się przed oczami jednej i drugiej pod wierzchnią warstwą skóry.

7.

Na koniec roku szkolnego nauczyciele V Liceum Ljubljana-Šentvid mieli mały poczęstunek, na który zaproszono również niektórych przyjaciół i znajomych, dyrektor Primož Rezman zaprosił także Miloša Trtnika. W swoim wytwornym i popisowo napuszonym stylu, gdy na języku roztopia się złota ikra, a bajeczne słowa zlewają się w jeszcze bardziej bajeczną syntaksę, od razu podszedł do profesor Ingrid Rosenfeld.

Mężczyźni oblegali Ingrid, przymilali się i prawili jej komplementy, ale szybko odpuszczali, kiedy zauważyli, jak twardy mają orzech do zgryzienia, kobieta wiedziała, że męska chęć triumfowania nad kobietą i próżne udowadnianie mocy są cechą tych, którzy nie potrafią kochać. Wcale nie miała wypisane na urodzivej twarzy, że jest jeszcze dziewicą, teraz była już prawie starą dziewicą, w dwudziestym piątym roku życia jeszcze nic, ale kobieta była wyluzowana i wcale jej nie przeszkadzało, że jeszcze nie została zdeflorowana, że kwiat jeszcze nie zerwany i hormony jej nie rozpałały tak, żeby traciła kontrolę nad rozsądkiem albo żeby zdyszana tęsknota mogła zacząć roztopiać powłokę dnia. Także ona była pewnego rodzaju cudem, bez wątpienia była. Czuła i domyślała się, na co miałby ochotę Trtnik, ale nie wiedziała, że Miloš jest upartym, wytrwałym i odczytanym, i zręcznym łowcą i że kłamstwa wypływają z jego ust jak woda z kranu na ufające zarumienione twarze, że jest bystry i genialnie manipuluje, to być może jeszcze zauważy, jak również to, że mężczyznę praktycznie cały czas zajmuje rozczulanie się nad sobą. A wydawali się stworzeni dla siebie, przynajmniej pod kątem wymiany myśli; ani Trtnika, ani Ingrid nie interesowały wybujałe plotki i pogawędki ciała pedagogicznego, oboje chętnie zanurzali się w odmętach filozofowania, różnili się tym, że Trtnik filozofując, manipulował i próbował, jeśli już nie czegoś innego, przynajmniej zniewalać zmysłowo, zażyć słodczy, z każdej bardziej naturalnej rozmowy ten facet próbował wyciągnąć jakąś korzyść, jeśli nic innego się nie dało, przynajmniej tyle, żeby współrozmówca myślał, jakiego dżentelmena i dobrego człowieka ma przed sobą; jego oczy cały czas niespokojnie wędrowały dookoła i szukały ofiary wkradającego się w łaski krasomówstwa. Trtnik rozprawiał o Kafce i Maksie Brodzie, mówił o tym,

jak honorowym człowiekiem był Brod, mimo że złamał obietnicę i zachował rękopisy; rozprawiał o ulicach złotej Pragi, gdzie wielokrotnie przechadzał się i rozglądał po Hradczanach, „może pojechalibyśmy kiedyś razem do Czechosłowacji?“, dywagował o Fiodorze Michajłowiczu Dostojewskim, który ponoć napisał *Gracza* w ciągu czterech tygodni, ponieważ czuł na karku oddech hazardowych wierzyteli, o jego mistrzowskiej wiwisekcji ludzkiej mentalności, i dorzucił kilka wiadomości o Maurisie Maeterlincku. Miloš urodził się w małym górniczym mieście niedaleko Brukseli i chociaż jego ojciec był prostym górnikiem, człowiekiem kopalni, przyniósł do domu Maeterlincka, który według jego wiedzy wpływał na Ivana Cankara i także na niektórych innych słoweńskich pisarzy. Słuchanie tych dwojga ludzi, Ingrid i Miloša Trtnika, było radością dla ucha albo i wrogim przekłuwaniem błony bębenkowej, zależy z której strony na to spojrzeć, oboje mieli swoje zdanie, Trtnik szukał w literaturze ukojenia po swoich życiowych błędach i często też niemożliwych do spełnienia wizji, a literatura stała się dla niego właściwie łaską, na której mógł się wesprzeć; Ingrid była jej wybitną miłośniczką, która nie oczekiwała, że literatura będzie dla niej podporą czy autodydaktyczną pomocą psychologiczną, jej miłość pozostała czysta, głęboka i jasna, Ingrid nie miała nawet ambicji literackich, była zdania, że już literatura antyczna wyznaczyła fundamenty, które inni tylko ciosają i bocznymi wejściami wchodzą do domu literatury. Że bez sensu byłoby jeszcze o niej pisać, nie odczuwała żadnej potrzeby pisania, już czytanie książek wystarczająco delikatnie łechtало jej podniebienie, tak że po ostatniej stronie jednej od razu sięgała po drugą. W odróżnieniu od Trtnika, który już od dawna pisał, lecz nie publikował; kiedy zdecydował, że będzie pisał, a właściwie po prostu zaczął pisać, w ogóle nie decydując, obiecał sobie także, że nie będzie publikował swoich wierszy, i to była w jego dotychczasowym życiu jedyna zasada i obietnica, której nie złamał, a więc także w jego egzystencji znajdziemy pewne postanowienia, których się trzymał, których czas nie przeinaczył i nie zniszczył, jak sam chętnie powtarzał, zwłaszcza pijany, „czas zniszczy wszystko“. I teraz był już pijany, od dwóch godzin pochłaniała ich rozmowa, iskry fruwały i usta były wyschnięte, musiał pić, zwilżyć sobie język, po pijanemu czuł się bardziej odprężony, nigdy nie mógł rozwikłać zagadki, dlaczego czasem pijany szaleje, a czasem jest czuły, nigdy nie wiedział, co się stanie, kiedy się napije, nie było za to trudno pojąć, że w każdym wypadku chodzi o starego, wartościowego cynika, który ma swoje marzenia. I wtedy, debiutując na pierwszym poważniejszym spotkaniu z młodą nauczycielką Ingrid Rosenfeld, był łagodny, z jego oczu nie biły zwyrodniałość i szaleństwo, za to promieniowała błogość. Swoje wersety czasem, ale tylko czasami i tylko wtedy, kiedy sądził, że to potrzebne i będzie miał z tego jakąś korzyść, zazwyczaj erotyczną, recytował eleganckim damom na ucho, no, prostytutkom też je świergotał, zależy, gdzie go nogi poniosły, a potem też wyniosły, i jaki był stopień alkoholizacji. Przynajmniej coś mam z literatury, bzykał sobie, chociaż to, chociaż to, że mogę im szeptać wiersze, i także Ingrid wyrecytował jeden, właśnie tam przy stole, aż ciało pedagogiczne umilkło, ale teraz było mu wszystko jedno, nawet jeśli nadstawiają uszy, załata go fala gorąca, rzucił marynarkę na płytki winylowe, tak, że upadła jak wzgórek czarnej piany obok nóg:

„Kroczę tylko
tą ścieżką, na której mogę
przywdziać pancerz szaleństwa.
Dlatego Cię kocham.
Ty kroczysz tylko
tą ścieżką, na której twoje
buty dotykają brunatnej gleby
realności.
Dlatego mnie kochasz.
Kiedy skrzyżują się nasze ścieżki,
miłość umknie”.

Pracownicy oświaty chwilę milczeli i nie wiedzieli, co by tu zrobić, chociaż patrzyli sobie w rumiane twarze, trącali się łokciami w ubogiej, ale czystej sali, i butami, zazwyczaj ozdobionymi bezgłośnymi gumowymi podeszwami, suwali po podłodze, jakby stąpali po zgniłych jesiennych liściach. Potem Ingrid zaklaskała i inni postąpili tak samo, chociaż zdawało się, że pedagodzy patrzą na swojego kolegę wzrokiem pełnym protekcyjnej wzdargi. Wiersz spodobał się Ingrid i dobrze się bawiła, inni nieco poczerwienieli i poza Rezmanem, który Trtnika znał, myśleli, że facet jest po prostu wstawiony, może też ma coś nie tak z głową, co on tu teraz deklamuje, jak jakiś podekscytowany licealista, czy nie zachowują się tak niektórzy licealiści, nie uczą się wierszy na pamięć? „Pijany głupiec, frajer, kaszle wierszami, tak jak my pokasujemy, budząc się rano”, deliberowali oświeciciele, a Ingrid wydawało się dość zabawne, że taki jegomość też przychodzi na nudne i nafaszerowane tanimi plotkami nauczycielskie poczęstunki, koniec końców Miłoś Trtnik też jest pedagogiem i dowodem na to, że nauczyciele mogą być inni, nauczyciele też mogą być zakręceni, a ten jest odczytany jak sam czort. Trtnik już teraz ledwie, ledwie trzymał wodze kontroli nad rozsądkiem, chociaż nie krzyczał, ani nie wymachiwał rękami i piana nie ciekła mu z ust, bo słowa grzęzłyby mu na końcu języka, tak jak mu się to czasem zdarzało, kiedy chciał powiedzieć wszystko naraz i kilkakrotnie cytował Oskara Davića, który zawsze podkreślał, że człowiek, póki żyje, nie może być niewiniątkiem. Swoim wierszem zniesmaczył poczęstunek i sala upodobniła się do akwarium bez wody.

Profesorowie powoli zbierali się do domów, poczęstunek się skończył, a wiersz wciąż dźwięczał im w uszach, chociaż liryki nie należy traktować nazbyt poważnie, myśleli sobie, w domu czekają poważne sprawy, trzeba nakarmić dzieci i opłacić rachunki. Trtnik to hulaka i zatraceniec, syn też taki będzie, myśleli sobie, niedaleko pada jabłko od jabłoni, syn też chodzi swoimi ścieżkami, obaj pobłądzą i wpadną w kłopoty, ani ojciec, ani syn nie mają obycia i obaj są uzależnieni od książek, rozwiedziony ojciec muzyk i syn, problematyczny uczeń.

Lecz Trtnikowi udało się do tego stopnia oczarować i zmiękczyć Ingrid Rosenfeld, że przyjęła jego zaproszenie na kolację, takiego człowieka jeszcze w życiu nie spotkała, interesujący i przystojny z niego mężczyzna, myślała sobie, mogę mu w pełni zaufać

i wybrać się z nim na kolację, przecież to tylko kolacja. I pójdzie, i rzeczywiście poszła, ludzi czasem ogarnia strach, kiedy są bez pomocy wydani na pastwę brutalnego terroru.

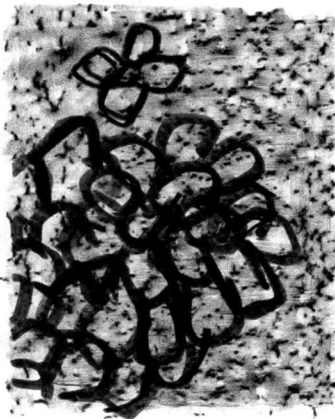
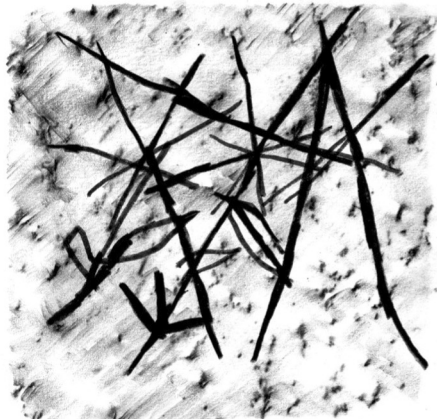
Miloš Trtník tego wieczoru zupełnie się upił, rano obudził się w butach i w ubraniu na kanapie przy włączonym telewizorze, lecz o zaproszeniu na kolację nie zapomniał i był w dobrym humorze, chociaż skacowany musiał iść do pracy. Będzie jej opowiadał historie, które rozpaląby ciekawość Viktora Hugo, szczepił sobie w zapuchniętą twarz, chociaż rozumiał, że najbardziej chwiejnym uzasadnieniem szczęścia jest miłość. Przekroczył bramę szkoły muzycznej France Šturma bardziej hałaśliwie niż zamierzał, w ten skacowany poranek stawiał czoła sforze gniewnej młodzieży, która zawsze coś zmałuje, i zdarza się to nie raz, nie dwa.



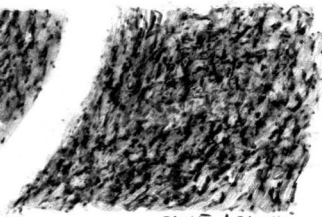
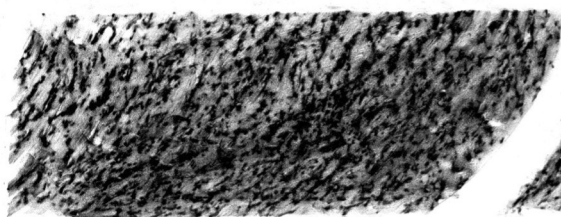
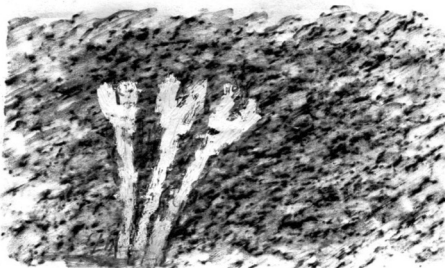
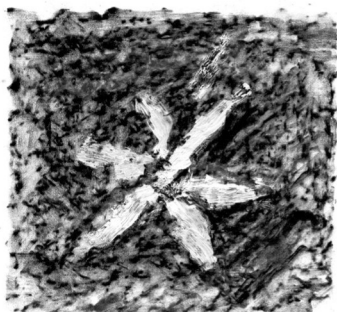
Bob Hýsek, Tomas Kopriva, *Komiks haiku: (nie)maj*

Serce trochę drży
życia listek znowu się rozwija
soczysty finał

Otroci rišejo



na asfalt



šopke rož.

PAVLE ABANSKI
ANDREJ ŠTULAR

Andrej Štular, *Komiks haiku*:
Dzieci rysują
na asfalcie
bukiety kwiatów